

sto opuszczał syn zajęcie biurowe i inni musieli przepisywać za niego.

— Sądzę, że najdogodniejsze dla ciebie, Sabinko, byłyby godziny popołudniowe, nieprawdaż?

Władzio ściągnął brwi i rzekł suchym tonem: — Powiedziałem już że każdego czasu służę paniom... i dodam, że najlepiej w rannych godzinach, bo niema tłoku i niepotrzebnych świadków.

— Sama nie wiem — spojrzała na córkę i syna.

— Zatem jutro, o dziesiątej rano, czy dogadza to paniom?

— Dobrze... możemy pójść jutro.

— Sabinko — odezwał się radca — miałaś jakąś ważną sprawę do mnie?

— Tak jest, kochany Jasiu, może przejdziemy do drugiego pokoju — wstała z krzesła — ażeby młodym nie przeszkadzać.

— Ależ mam — zawołała Irena — to my się usuniemy i młode towarzystwo przeszło do sąsiedniego numeru.

— Rzecz w tem, kochany Jasiu, że Roman został nagle bez posady.

— A to, wiem — mruknął, obcinając cygaro malutkimi nożyczkami.

— On nas utrzymuje, bo procenta kapitaliku mego nie wystarczyłoby na życie.

— Hm... to zacnie z jego strony — wyjął zapalniczkę srebrną — a ile masz kapitału?

— Właściwie nie jest to moja suma, ale posag Irenki... tylko pięć tysięcy rubli.

— Dobre i to — westchnął — ja i takiego posagu nie dam za Klimcia. Ubezpieczyłem ją tylko na cztery tysiące koron, które otrzyma na wyprawę, a Irena ma do trzynastu tysięcy koron... i jaki procent od nich?

— Osiem, na pierwszym numerze.

— To bardzo dobrze... u nas dają pięć, a często mniej — zapalił cygaro.

— Wracając do rzeczy... rozumiesz, Jasiu, że Roman musi starać się o miejsce płatne.

— Tak, tak, a jakie on ma studia?

— Skończył realną, a potem szkołę handlową i przemysłową. On bardzo pilny i sumienny. Nie danoby mu tak dobrej pensji, gdyby był złym pracownikiem.

— Wszystko to możliwe, nawet wierzę tobie, ale był lekkomyślny i niepotrzebnie się naraził. To przymusowe wydalenie z państwa psuje mu dobrą markę i podaje w pewne podejrzenie jego poprzednią działalność.

— Ależ, Jasiu — zarumieniła się z oburzenia — on postąpił sobie uczciwie i szlachetnie. Dumna jestem z takiego syna.

— Ty, jako matka, możesz to pochwalać — uśmiechnął się ironicznie — inni, mówią o pracodawcach, nie noszą różowych okularów.

— Chyba żartujesz — usiłowała się uśmiechnąć.

— Wcale nie. Naturalnie, ja nie powiem nikomu o tem przymusowym wydaleniu i wam szczerze radzę nie wspominać o tem.

Patrzała na niego wielkimi oczyma, a spostrzegłszy, że mówił to seryo, zawołała:

— Romciu! chodźno tutaj — a gdy stanął przed nią, rzekła poważnie — wiesz, Romciu, wuj radzi, ażebyś nie mówił o przyczynie twego wyjazdu z Warszawy.

— A to dlaczego? — zdziwił się.

— Mój kochany — zaczął radca poważnie i surowo — u nas, chwała Bogu, niema zaburzeń, strejków, awantur. My pracujemy cicho, wytrwale, spokojnie i tej drogi dla jakichś mrzonek nie porzucimy, to jasne.

— Ależ, wuju, co ma z tą pracą wspólnego ój przymusowy wyjazd? — usiadł na krześle i badawczo wpatrywał się w twarz wuja.

— O, bardzo dużo i dziwi mnie, że tego nie rozumiesz, chociaż i to prawda, że wy, w Królestwie, nie macie pojęcia o logicznej pracy politycznej — odchrząknął i puściwszy kłęb dymu, mówił dalej. — Otóż wiedz, że rząd liczy na nas, jako na spokojnych obywateli i pozwala nam się rozwijać. My też unikamy wszystkiego, co mogłoby rząd drażnić i to byłoby bardzo źle widziane, gdybyśmy tę

rewolucję socjalną popierali. My tu wszyscy do brze to rozumiemy, nauczyło tego nas życie parlamentarne, którego wy nie znacie, a człowiek, który był czynnie wmieszany w tamte rozruchy, budzi u nas słuszne niedowierzanie.

— Może wuj ma rację — uśmiechnął się gorzko z tego małego egoizmu — ale cóż zrobię z tym faktem konkretnym, że skazano mnie na wyjazd?

— Od czegoż jest rozum?... Możesz powiedzieć, co zresztą wszyscy przyjmą z uznaniem, że nie mogłeś wybyć w tych niepewnych stosunkach politycznych i społecznych, a gdy zamknięto fabrykę, przyjechałeś tutaj szukać chleba pewnego, chociaż nie tak dostatniego, jak tam.

Matka, widząc nachmurzoną minę syna, spytała:

— Jasiu, czy to konieczne?

— Ja radzę ci szczerze, jako krewny, a wy zrobiecie, co zechcecie — kończył obojętnie, chociaż można było poznać, że ma o to pretensję.

Czajkowska, która liczyła na radę i pomoc brata,



Następnie miarowym krokiem podszedł do Czajkowskiej

przeraziła się, spojrzała błagalnie na syna i rzekła z pewnem wahaniem:

— Dobrze, Jasiu, skoro sądzisz, że trzeba ukryć... Romcio zastosuje się do tego.

Radca spojrzał wymownie na siostrzeńca, który rzekł krótko:

— Zgadza się.

Matka rozpogodziła się i spytała:

— Jasiu, czy będziesz pomocny w wyszukaniu posady dla Romcia? Ty znasz tak dobrze tutejsze stosunki, masz wielkie wpływy, zajmując tak wysokie stanowisko.

— Wiesz, Sabinko, ja mam tę naturę, że co obiecuję, to napewno dotrzymam, słowa na wiatr nie rzucam.

— Znam cię, Jasiu — uśmiechnęła się przyjaźnie — tyś złoty człowiek.

— Otóż posady nie mogę przyrzec i nie przyrzekam, bo to nie leży w mej mocy. Nie mam też tego rodzaju stosunków, bo pewno Roman zechce służyć w banku, w syndykacie, może u jakiego fabrykanta... ale mam znajomych, różnych poważnych i wpływowych wyższych urzędników... Przypuszczam, że gdy ich poproszę, to jakaś posada, na razie skromna naturalnie, może się i znaleźć.

— Serdecznie dziękuję wujowi i rozumiem, że moje wymagania na początku muszą być skromne — powiedział Roman.

— Jednak za byle co nie będziesz pracował — zawołała matka — przecież żyć musisz.

— Zobaczymy — uśmiechnął się radca — ale uprzedzam, że co Galicya, to nie Królestwo i pensje u nas skromne, natomiast są pewne i ma się być zabezpieczony.

— A kiedy, Jasiu, porozumiesz się z tymi panami?

— Hm... kiedy?... Właśnie dobrze się składa — rozjaśnił się — ja i moi znajomi schodzimy się dwa razy tygodniowo na szklankę piwa, dziś jeszcze wspomnę im o tem.

— Bardzo jesteś dobry — rozczuliła się Czajkowska.

— I dobrze byłoby, gdyby Roman poszedł ze mną... pijesz piwo?

— Tak jest.

— No, takiego „pilzneńskiego“, jak mamy w Krakowie, nawet w samem Pilźnie nie mają. Tu mamy piwo z mieszczańskiego browaru.

— Jest i u nas, w Warszawie, pilzneńskie piwo.

— Nie może być tak dobre, jak nasze, zresztą poznasz, o ile rozumiesz się na piwie.

— Pójdę z wujem chętnie. Czy do piwiarni daleko?

— O nie! W rynku. To właśnie jest wygodne w Krakowie, że wszędzie tu blisko. Do piwiarni, do cukierni, do klubów, do sklepów jest niedaleko, ale starczy, ażeby się przejść dla zdrowia.

— O czym to ojczulek mówi? — spytał Władysław, wchodząc z Ireną.

— Że w Krakowie koncentruje się życie w rynku i na pobliskich ulicach.

— A tak... dosyć blisko, chyba że ktoś mieszka za miastem.

— Ale, ale, Sabinko, czy wynajęłaś już mieszkanie? Paulisia kazała mi spytać się o to.

— Tak jest.

— Ileż pokoi?

— Trzy, z przedpokojem i kuchnią, na drugim piętrze, od frontu.

— I ile płacisz?

— Sto pięćdziesiąt koron.

— Mój Boże — westchnął radca — jak drogo! I przy której ulicy?

— Przy Zabiej.

— No, no, tak daleko... Wiesz, za takie mieszkanie płacono się co najwyżej sześćdziesiąt koron. Ceny podwoiły się i potroiły dopiero od czasu napływu Królewaków, bo wyobraź sobie, jak mi mówił radca policyi, przybyło nagle do Krakowa dwadzieścia tysięcy Królewaków i zaraz drożyzna, bo u was pieniędzy jak lodu, a o oszczędności, o skromnem życiu pojęcia nie macie.

— Nie nasza wina, że musieliśmy tu przyjechać — wtrącił Roman.

— A czyja? — rzekł zgryźliwie radca — nasza może? Wy tam zaraz

burzycie się, ot, słomiany ogień... a my tu cierpimy — kończył jęklonie — a na czyje miejsce wprowadzasz się, Sabino?

— Mieszka tam pani Mercka.

— Mercki?... Mercki? a, już wiem; to ten, co się rozwiódł z żoną.

— Zna go wuj?

— Hm... tak sobie, z widzenia. To jakiś oficyał, manipuła — mówił lekceważąco — to skandal z tą żoną: i widziałaś ją, Sabinko? Jaka ona?

— Biedna kobieta... sprzedała mi meble ze saloniku.

— Widziałem ją — wmieszał się Władysław — nizka blondynka, nieładna i podobno sekutnica.

— Ile zapłaciłaś za meble?

— Dwieście koron.

— No, trafiła się jej gratka; i co mówiła?

— Trochę narzekęła...

— Każda to czyni, a sama sobie winna. Porządna kobieta nie dopuści do skandalu publicznego...

— A co ma zrobić, jeśli ją mąż porzuci — stanęła Irena w obronie kobiet.

(Ciąg dalszy nastąpi).